

F.Z.K.

był

218

na ŁEZTERNIE.

Tyle spadło na nas ostatnio przedstawień ambitnych, że z uczuciem ulgi ogląda się spektakl, którego twórcy (Erol, Gorzelski, Hertel) postanowili zabawić widownię. I to bez przeprowadzenia wstępnej selekcji, kogo odprawić z kwitkiem, a dla kogo odprawić solenne nabożeństwo.

Autorzy „Łezternu” terminowali w studenckich teatrzykach. Z nich wynieśli zamiłowanie do kosmicznej zgrywy. W tym przypadku zgrywa to jak najbardziej na miejscu: utwór jest parodią westernowych schematów, parodią zawsze płodną, („Lemoniadowy Joe”, „Wiatr w gałęziach sasafrasu”). Jeśli można o coś mieć pretensje, to o to, że za mało sparodiowana została moralność westernu, że autorzy ograniczyli się do kpin ze spraw czysto

zewnątrznych — jeszcze raz saloon, jeszcze raz mordobicie i strzelanina. Walka ze schematami również ma swój schemat, od którego niełatwo jest odejść...

Konwencja scenicznej draki sprawia, że wszystko jest możliwe, wszystko można usprawiedliwić i zrozumieć — zarówno odśpiewanie pieśni „Oczy czornyje” jak pojawienie się typka o nazwisku Ivangogg. Osobiście nie mogłem jedynie pojąć ambicji p. Krawczykówny, która z piersią podaną do przodu parła do stworzenia kreacji po trupach swych koleżanek i kolegów. Mieli oni może mniejsze ambicje, za to potrafili grać, śpiewać i tańczyć. (B. Marszałek, G. Marzec, M. Małek, A. Herder) — świadomi faktu, iż nie tekst organizuje to widowisko, lecz muzyka Piotra Hertla.

Gościnne występy Teatru 7,15 z Łodzi cieszyły się dużym powodzeniem, dowodząc raz jeszcze smutnej prawdy, iż w dziedzinie rozrywki ciągle jesteśmy skazani na import.